

# Sarmaci w Padwie

*Rzecz dzieje się w Padwie w Roku Pańskim 1563*

PERSONAE:

Francesco Robertello- Profesor prawa w Padwie, wróg Sigoniusza  
Carlo Sigonio (Sigoniusz)- Profesor prawa w Padwie, przeciwnik Robertella

Bernardo Venerio- podesta<sup>1</sup> Padwy  
Marino de Cavallia -senator  
Lukrecja - córka senatora Marino de Cavallia

*frakcja wincentyńska:*

Botero- student, krewny Bernarda Venerio  
Jan Sariusz Zamoyski- konsyliarz nacji polskiej  
Piotr Kłoczkowski- student z Korony  
Jan Krystian Tęczyński (Tristan)- student, przyjaciel Zamoyskiego

*frakcja brescianów:*

Ricardo i Tiberio przywódcy brescianów, kuzyni Lukrecji  
Reinhold i Albrecht - stronnicy brescianów

*Mieszkańcy getta w Padwie:*

Judyta - córka Arona, zaufana Lukrecji  
Aron ojciec Judyty  
Jakub syn Arona

16 osób

---

<sup>1</sup> naczelnik miasta

O życzliwi mieszkańcy starego Poznania  
Użycie dzisiaj ucha i bystrego oka  
Dla sztuki, co ukaże złożone przyczyny  
Niegdysiejszej świetności tak zacnego grodu.  
Oto bowiem opowieść o zacnych powodach  
Dla których tu z Europy przybywali goście,  
I olśnieni wolnością i dostatkiem wszelkim,  
Budowali pomniki chwały polskiej ziemi.  
Tak powstał oto Ratusz –dzieło mistrza Quadro,  
I jego sukiennice, zabrane przez dzieje.  
Dziś pragniemy przywrócić je tu Poznaniowi,  
By cna przeszłość w przyszłości jaśniała swym blaskiem.  
Nie bądźcie więc surowi, dla naszych wysiłków,  
Wszak przyświeca nam wszystkim cel dla miasta wzniosły.

*Muza (śpiew Zamoyskiego)*

## AKT I

### SCENA I

*Późny wieczór. Przed bazyliką św. Antoniego w Padwie grupa studentów z frakcji brescianów  
tłoczy się wokół Francesco Robertello, tuż obok frakcja wincentyńska ze złotoustym Sigoniuszem*

**ROBERTELLO:** Dalibóg, świat nie widział większego parweniusza nad imię Sigoniusza.

**SIGONIUSZ:** Dalibóg, waszym okiem szlachetni studenci  
świat widzi najmniejszego spośród tych bękartów  
lęgnących się na progach rzymskiej „Alma Mater”,  
co gnuśnieje z lenistwa i wstecznych poglądów.  
Ot miernota na wozie zaprzężonym w osły,  
co pasą się furazem z wypociny głowy  
beźmiernie obolałej trudem pomysłu.

**RICARDO:** Kogóż masz profesorze za osłów w kieracie?!

**BOTERO:** Osioł pyta o osła, gdy o osłach prawią.

**KŁOCZKOWSKI:** Mój mości Robertello, mości profesorze,  
czymże zaprawiasz karmę twych sławnych wykładów,  
że tak łby ogłupiają twych tępych baranów.

**BOTERO:** To prócz osłów barany w całym towarzystwie,  
co tak tłumnie oplata głupców wodzireja!

**ALBRECHT:** Zali to mi się zdaje, zapiekli krzykacze,  
czy może jaka złuda moje zmysły mami,  
że waszmoście głupcami zwą naszą kompanię!

**KŁOCZKOWSKI:** Zali to mi się zdaje? czyś Acan słuch stracił.  
Wszak głośno tu gadają, że mają was jeno  
za osły i barany w kieracie głupoty.

**TIBERIO:** Ta bezczelna zniewaga o krew pomsty woła!

**BOTERO:** Raczej beczy, boć przecie wół wołać nie zdoła.

**KŁOCZKOWSKI:** A juści! Jako żywo! Wszakże osły ryczą,  
a barany... beczą. *(ostatnie słowo razem z Boterem)*

**BOTERO:** Zali nie kijem chłopci żywość trzody leczą!

**ALBRECHT** *(wyciąga rapier):* Oto ostrze, co skróci lechicką bezczelność!

**BOTERO:** Ha! Na honor, panowie! Baran róg obnażył.

**KŁOCZKOWSKI:** Tedy waszmoście to nie baran, ale rogacz!

*Albrecht z Reinholdem z bronią w ręku nacierają na frakcję  
śmiałych wincentynów, za ich przykładem rusza Ricardo i Tiberio*

**KŁOCZKOWSKI:** O wspomnijcie Germanie na Grunwaldzkie miecze!

**BOTERO:** Oto me śmiałe żądło dziś Niemca usiecze!

*Słychać trąby, straże wkraczające na plac, na jej czele wchodzi Bernardo Venerio  
w towarzystwie senatora de Cavallia i młodego Zamoyskiego*

**BERNARDO VENERIO:** Stać! Żelazo do pochew, nie czynić zamętu!  
Jako podesta Padwy wszem waściom ogłaszam,  
że pod groźbą wygnania uśmierzę rozboje.

**ZAMOYSKI:** Hej mili towarzysze studenckiej kompani,  
zali to się nam godzi rwetes czynić w mieście.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Precz stąd ręce próżniaki! Gwałtów krzewiciele.  
Miast do stali za książki czym prędeż się weźcie!

Wrogie frakcje rozchodzą się

**BERNARDO VENERIO:** O zacny Robertello, kiedyż kres tych waśni,  
Kiedy skończą się bójki i zajadłe spory!  
Mój światły Sigoniuszu dość mam waszej zwady.  
Precz wygnam z Padwy tego kto sięgnie do szpady  
I raz jeszcze zakłóci ciszę naszych nocy.  
Wszak spokój *Alma Mater* w waszej leży mocy.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Zarzewie tych rozruchów zaczyn ma w niezgodzie,  
Jaka toczy ambicje dwójki profesorów.  
Každy z was miast dać przykład, żądłem waśni bodzie,  
Dając powód studentom do bezwstydných sporów.

**ROBERTELLO:** Zacny podesto Padwy- szlachetny Venerio;  
I ty mój dostojny senatorze- Cavallia,

Wszystkiemu winien Carlo, klnę się na mą brodę.

**SIGONIUSZ:** Ależ drogi Francesco! Cóż za poufałość!

**BERNARDO VENERIO:** Dość! Ani słowa. Wygnam precz z Padwy niezgodę.  
I klnę się na me imię, że wszelka niestałość  
dla porządku w mieście spadnie na wasze głowy;  
(*na stronie*):

Hejże Botero! Pójdź tu. Mój młody siostrzeniec  
pośród zwaśnionych frakcji wymachuje ostrzem.  
Jeżeli tak wyglądają tve w Padwie nauki,  
powiem, że to są kpiny i czeze banialuki;  
czym prędzej listy skreślę do twej zacnej matki  
i czcigodnego ojca.

**BOTERO:** Ależ zacny wuju!

**BERNARDO VENERIO:** Dość, ani słowa więcej, rzecz postanowiona.  
Niechaj cię stąd zabiorą, dosyć mam próżniaków  
i waśni krzewicieli. Nie pozwolę aby  
w mojej własnej rodzinie wróg szukał przykładu  
łamania ustaw, które uchwała Wenecja.

**BOTERO:** Zaklinam się cny wuju; jestem za pokojem!

**BERNARDO VENERIO:** Krzyżując miecz z Albrechtem dałeś dowód pychy,  
Co przeczy pokojowi. Zejdź mi z oczu głupcze.

## SCENA II

*Studenti i stronnicy frakcji brescianów w uliczce przy kościele degli Eremitani*

**RICARDO:** O na Marsa Ultora! Co za wstyd i hańba.  
Gorze! Dzielny Albrechcie potomku rycerzy  
-zakonników Najświętszej Panny Marii Domu  
Niemieckiego. Jak niski i podły upadek!  
O jakże długo jeszcze lechiccy Sarmaci  
trzymać będą pod jarzmem krzyżacką dziedzinę.  
Zali nikt z zacnych Prusów- dziedziców Krzyżaków,  
nie zrzuci stopy hańby żelazem okutej,  
co ją z hardością trzyma na karku słabości  
dumny zwycięstwem Polak!  
O biada ci upadły stanie skoro żadne  
z twych dzieci nie śmie podnieść wzroku na oblicze,  
co z butną wzgardą pluje na tchórzliwe gniazdo.

**ALBRECHT:** W tym gnieździe znajdziesz orły, co czarnymi skrzydły  
zedrą łańcuchy jarzma.

**TIBERIO:** Ha! Tymczasem u kolan polskiego imperium  
kwili żałośnie Krzyżak, składając hołd lenny;  
i tak jak pruski książę, drżą jego poddani  
na widok długich kopii i zagiętych szabel.

**ALBRECHT:** Dalibóg czemuż służyć mają te jątrzenia,  
co niby wściekle osy tak dźgają mój honor!

**RICARDO:** Czas już nam się rozprawić z frakcją wincentyńską,  
co chce nam na kark wsadzić Piotra Kłoczkowskiego,  
by w Padwie jako rektor panował miłościwie.

**TIBERIO:** Czy znajdzie się wśród Niemców jaki mąż dość dzielny,  
by skrócić niepokoje srogiej doczesności  
i kandydata z Polski strącić w otchłań czasu.

**RICARDO:** A może zbyt drży serce potomka krzyżowców  
przed hardą butą orła z lechickiego gniazda.

**ALBRECHT:** Wątle nici żywota sarmackiego łotra  
przetnie wnet rapier męstwa.

**TIBERIO:** Wszak nie dalej jak jutro kompania imć Piotra  
bawić będzie na wiecu tuż przy *Piazza d'Eerbe*.

**RICARDO:** O jakimże czasie?

**TIBERIO:** Wiem jeno, że po balu w *Palazzo Regione*.

**ALBRECHT:** Obaczmy się tedy zmierzchem przy ratuszu.  
Żegnajcie towarzysze i rozchmurzcie lica.  
Wszak jutro o tej porze Pańska gołębica  
poniesie duszę łotra na piekielne błonia.  
Reinholdzie pójdź mój druhu.

*Ricardo i Tiberio ostawszy sami.*

**RICARDO:** W czas elekcji otoczym plac zbrojnym kordonem,  
lecz czy Albrecht dotrzyma danego nam słowa.

**TIBERIO:** Ha! Cała ta barbaria mierzi mnie do szpiku.  
Trzeba więc jak onegdaj czyniło Bizancjum;  
jedną hordę dzikusów poszczuć drugą w matni.  
Posłużymy się Niemcem przeciwko Polakom.  
Bez własnej szkody zniesiem jednych kosztem drugich.

**RICARDO:** Ani chybi tak będzie, wszak miejmy baczenie  
na pana Zamoyskiego, nacji konsyliarza.  
Pośród wszystkich Sarmatów on najjaśniej błyszczy,  
choć ogień tego światła chytrze chowa w todze.  
Tak mi się zdaje, że on knuje coś na boku.

**TIBERIO:** Zatem dzielny Ricardo miejmy go na oku  
i przy byle okazji strąćmy go do grobu.  
Niechaj Albrecht na niego ostrzy swą nienawiść.

### SCENA III

*Albrecht i Reinhold w drodze do kwatery*

**ALBRECHT:** Na honor nie zawaham się posłać do piekła  
owąż nadętą pychę, co bezczelną drwiną  
rozsadza polskie trzewia. Ma rację Tiberio  
szydząc z odwagi Niemców, którzy pyszcząc słowem  
stronią od walki mieczem. Czas zatem z tym skończyć.

**REINHOLD:** Po prawdzie cny Albrechcie mąż z ciebie szlachetny,  
a honor wždy w twym rodzie był godną ozdobą.  
Wszelako myślę sobie, że Tiberio za nic  
ma sprawy Prus i Niemiec.

**ALBRECHT:** Za nic? Wszak głośno bolał nad naszym upadkiem.  
Czyliż smutek i rozpacz nad losu niedolą  
bardziej wyraźny obraz niżli łza Tiberia  
przybrać w obliczu może.  
Kaźde tam drgnienie lica smagane cierpieniem  
zdradza czarę goryczy, co wsiąkając w serce,  
krwią o zemstę woła!

**REINHOLD:** Zawsze szczerem, oddanym i wiernym stronnikiem  
twych spraw cny Albrechcie i twojej rodziny.  
Boleść nad hańbą Prusów, całego Zakonu,  
jako miecz w serce wbity przez butę polskich panów  
i litewskie hordy, pali mój żywot męką.  
Im bardziej Polska z Litwą wyrasta w potęgę,  
tym więcej jątrzy widok dumnego Sarmaty.  
Jeśli więc zgładzić pragniesz polskiego szlachcica  
tedy całym mym sercem stać będę przy tobie.  
Nie chcę jednakoż widzieć twego trupa w grobie,  
nad którym hańba zbrodni obwieści swój wyrok.  
Wszak sam podesta Padwy, zawzięty Venerio,  
wszem ogłosił, że skaże gwałtów krzewicieli.

**ALBRECHT:** Surowość kary żadną jest dla mnie przestrogą.  
Owszem, dodaje jeno do czynu chyżości.

**REINHOLD:** Miłość i dobro twojej i Ojczyzny sprawy  
szeptają ostrzeżenia, że Ricardo szczuje  
cię dla własnych celów.  
Nie gardź Albrechcie radą, której sprzymierzeńcem  
jest zdrowy rozsądek i braterska troska.

**ALBRECHT:** Hah! Ricordo mnie szczuje? Ricordo mnie szczuje!  
Jak można mój Reinholdzie szczuć już zaszczutego.  
Nie waż się przy mnie więcej godzić w cześć Ricarda  
i lżyć szlachetne serca obraźliwym słowem,  
a skoro nam nie sprzyjasz i drżysz o swe życie,  
schowaj się w kałamarzu własnych wyobrażeń  
i piórem ryj pomniki wielkiego Zakonu.  
O nie, nie w pergaminie, lecz w ciele Polaka,

zatopię mą nienawiść, co jątrzy mą duszę.  
Jeśli nasz książe<sup>2</sup> słaby, niech chociaż poddany  
jego podniesie głowę, a z nią dziele ramię.

*Albrecht odchodzi, a Reinhold zostaje sam, lecz wnet zbliża się do niego Zamoyski, który wychodzi zza arkad.*

**ZAMOYSKI** (do zamyślnego Reinholda od tyłu): Ha!

**REINHOLD:** Kto zacz!

**ZAMOYSKI:** Z głosu poznaję postać bystrego Reinholda.

**REINHOLD:** To pan mości Zamoyski, konsyliarz Polonii.  
Ukryty za kolumną słyszałeś rozmowę.

**ZAMOYSKI:** Cóż to za bladeść lica, oczy rozbiegane.  
Zaprawdę mój Reinholdzie, ledwie w tym obliczu  
poznać dawną odwagę.

**REINHOLD:** Kpisz mości konsyliarzu.

**ZAMOYSKI:** Albrecht to marna przyszłość. Skończy na szafocie  
albo w najlepszym razie zostanie nadziany  
na sarmacką szablę.

**REINHOLD:** Śmiało prorokujesz.

**ZAMOYSKI:** Aż nadto jesteś bystry by dostrzec tą przepaść  
w jaką twój patron zmierza, ciągnąc cię za kołnierz.

*(patrząc przed siebie wygłasza wpród mowę jakby do gwiazd –niemych słuchaczy)*

Wielkość Rzeczypospolitej wznosi różne ramie,  
a w Jej ogromnym ciele dość miejsca dla wielu,  
którzy własnym talentem wykują fundament  
Jej wiecznotrwałej chwały.  
W ziemi Prusów, gnieźdzących się nad brzegiem morza,  
Nie wykwita wolność co głosem wielu woła.

*(zwracając się wprost do Reinholda)*

Wszak znasz *lex Nihil novi*<sup>3</sup> i Statut Łaskiego.  
Jeno w Polsce jest wolność, ludzka tolerancja  
Dla wszelkiej bożej wiary i swobodnej myśli.

---

<sup>2</sup> Mowa tu o księciu Albrechcie Hohenzollern (1490–1568), ostatnim wielkim mistrzu krzyżackiego zakonu, synu Fryderyka ks. Ansbach i Zofii Jagiellonki, który pokonany przez Polskę złożył w Krakowie hołd Zygmuntovi I Staremu jako lenny książe Prus; również jego syn Albrecht Fryderyk w 1569 r. złożył taki hołd w Lublinie, a w 1576 r. złożył hołd Stefanowi Batoremu.

<sup>3</sup> Konstytucja sejmku radomskiego z 1505 r., zakazująca królowi wydawania ustaw bez zgody senatu i izby poselskiej: „Ponieważ prawa ogólne i ustawy dotyczą nie pojedynczego człowieka, ale ogółu narodu, przeto na tym walnym sejmie radomskim wraz ze wszystkimi Królestwa naszego prałatami, radami i posłami ziemskimi za słuszne i sprawiedliwe uznaliśmy, jakoż postanowiliśmy, iż odtąd na potomne czasy nic nowego (*nihil novi*) stanowionym być nie ma przez nas i naszych następców, bez wspólnego zezwolenia senatorów i posłów ziemskich, co było ujmą i ku uciążeniu Rzeczypospolitej oraz ze szkodą i krzywdą czyjąskolwiek, tudzież zmierzało ku zmianie prawa ogólnego i wolności publicznej.”



Od Poznania, gdzie Quadro wznosi sukiennice,  
Po prawosławny Kijów, gdzie tlą się gromnice,  
Przez Lwów prą karawany, zboże przez Gdańsk bieży,  
Kwitnie nauka w Wilnie, Kraków złotem leży,  
Wszędy znać, że po Rzymie- Rzeczypospolita  
Na chwałę swą nastąpiła.

**REINHOLD:** Cóż wszak mnie to obchodzić może mości panie.

**ZAMOYSKI:** W dzisiejszych czasach dalej zajdzie stronnik syna  
polskiego senatora<sup>4</sup> niżli druh szlachciury  
ze zhołdowanych Prusów. Rozważ to, a tymczasem  
bacz na własne zdrowie.

---

<sup>4</sup> Starosta bełski i hetman nadworny, pan Stanisław Zamoyski, zasiadzie w senacie w 1566 r., jako kasztelan chełmski.

## AKT II

### SCENA I

*Padewskie Getto. Dom kupca Arona*

**ARON:** Młody Albrecht nam winien czterdzieści florenów.  
Po sześćdziesiąt Ricardo i chytry Tiberio.

**JAKUB:** Dolicz mój ojciec jeszcze dwadzieścia Reinholda.

**ARON:** A tak, jeszcze dwadzieścia bystrego Reinholda.

**JUDYTA:** Sporo jak na Prusaka wydaje ów Albrecht.

**JAKUB:** Prawda, dość sporo, zwłaszcza, że z dużym procentem.

**JUDYTA:** Widziałam go przy murach wieży Capitanio.  
Zdał mi się dosyć blady.

**ARON:** Kiedyż to było.

**JUDYTA:** Wczoraj dość późną porą. Szedł niby szalony,  
iskrząc szarymi oczami, a kiedy mnie postrzegł,  
skamieniał jako posąg, co od wieku stoi,  
i usta mu zbieleły, jak małżonce Lota.  
Chciał mi coś rzec, lecz nie mogłem,  
jakby język spętała niemocą choroba.

**JAKUB:** Jeśli ta bladeść lica wepcha go do grobu,  
któż nam odda pożyczkę z umownym procentem.

**ARON:** Na proroka Jonasza, cóż córo robiłaś  
przy wieżycy zegara o tak późnym czasie.

**JAKUB:** Znać, za nic ma Judyta słowo swego ojca.

**JUDYTA:** Zaczni i dobry ojciec i ty zmienny bracie,  
wszak już miesiąc mija odkąd mnie posłałeś  
do pałacu Cavalli.

**ARON:** Prawda, prawda posłałem byś okiem i uchem  
w domu nieprzyjaciela Judejczyków była.

**JAKUB:** Moja siostra aż nadto dogląda urzędu  
i całym dzionkami pilnie śledzi sprawki  
rodziny senatora.

**JUDYTA:** Ciężką jest praca szpiega.

**JAKUB:** A jakże, tako ciężką, że wzrok ciągle włączysz  
za przystojnym Albrechtem.

**JUDYTA:** Frakcja brescianów sprzyja żydowskim pogromom.

**JAKUB:** Tyle, że młody Albrecht to nie Holofernes,  
a padewską Betulię niecnymi intrygi  
i podstępny sposobem, oblega Cavallia.  
Ojciec słał cię na zwiady knowań senatora  
a nie watahy żaków.

**ARON:** Dość, już dość. Córko moja pamiętaj na naszą  
tradycję i na wiarę, powinność dziewicy,  
a Albrechta poniechaj w niewinnym serduszku.  
Ani Albrecht dla ciebie, ani tyś dla niego.  
Wszystko co może ludzi na tym świecie dzielić,  
Co grodzi cześć od grzech, dzieli was oboje.  
Jakubie ruszysz teraz do domu studentów,  
gdzie upomnisz się sprawnie o nasze pieniądze,  
a ty Judyto pójdziesz obaczyć co w murach  
pałacu senatora przeciwko nam knują.  
Czyniąc te obowiązki pamiętaj kim jesteś.  
Wnuczka Eli Lewity zna swe powinności.

## SCENA II

*Na starych murach Patavium siedzi młody Tęczyński (Tristan), kreśląc w samotni wiersze.*

**TRISTAN:** Słońce o poranku jest niby małżonek,  
co za wcześnie nachodzi sypialnie żoneczki,  
która błogim snem studzi żar nocnych uniesień  
szalonej namiętności w ramionach kochanka.  
Słońce zarannym czasem jest jako pochodnia,  
jak ta żagiew latarni sycząca płomieniem  
rzuconym w czelusć studni uśpionej ciemnością.  
Słońce o bladej jutrzni...;  
Ha! Co za banialuki; nędzne wierszoklectwo!  
Pierwej połamię palce znękane skrobaniem  
lub rozbiję swą głowę o mur beztalencia  
niżli sklecę wierszydło lub coś podobnego,  
Co w malignie wersetów równą miarą rytmu  
odda jątrzącą boleść serca niepewności.

*Nadchodzi KŁOCZKOWSKI, Botero i BOTERO*

**KŁOCZKOWSKI:** Co za grom Jupitera lub inna cholera,  
tak skwasiała oblicze naszego Tristana.

**TRISTAN:** Jam Jan Krystian Tęczyński, oto moje miano  
Odkąd sięgam pamięcią. Imć Tristana nie znam  
i znać nie mam ochoty ni teraz ni potem.

**BOTERO:** Odkąd twój lubczyk wierszy, ów napój poezji,  
co płomiennymi strofy stopił lód serduszka  
tej padewskiej Izoldy –przepięknej Lukrecji,  
ostałeś nam Tristanem. Nic tego nie zmieni,  
a co do tego druhu, mój drogi Tristanie,  
czy ów dzień będzie dobry, powiem ci o zmierzchu,  
to jest po zachodzie lub jak wolisz o zmroku.  
Oto bowiem na jasny świt mego humoru  
nastaje chmura nocy pstrej niegodziwości,  
która z bandą opryszków w prusackiej facjacie  
wydrzeć pragnie mi radość studenckiego życia.  
Mój wuj za spór z Albrechtem odsyła mnie z Padwy.  
Słono zapłaci Niemiec za sromotną krzywdę,  
co mnie spotkała wczoraj. Póki co Tristanie  
licz druhu na mój dowcip, jak ja na twą szablę.  
Ty wesprzesz moje ramię w walce z brescianami,  
ja zjednam lotnym słowem Lukrecji uwagę  
dla twojej osoby.

**TRISTAN:** Dzięki miły Botero, ale nic mi po tym.

**BOTERO:** Odkąd to bawiliśmy na balu maskowym  
w Casa di Ezzelino, nasz dzielny towarzysz  
hulaszczych zabaw w Padwie, stracił dawny rezon  
i wrodzony Sarmatom animusz bitewny.

Czyżby piękna Lukrecja czar jaki rzuciła  
na tą płową makówkę.

**TRISTAN:** Drwijcie sobie panowie. Łatwo o chorobie  
rozprawia człek zdrowy. Tknięty wszak boleścią  
kurczy się w cierpieniu i gardząc swą mądrością  
szuka zbawiennej rady i jakiego leku  
lub też dobrego zioła.

**BOTERO:** Przyznajesz tedy druhu, żeś jakby zakochany.

**KŁOCZKOWSKI:** Wszak wyraźnie tu gadał o jakiej chorobie.  
Taka zapaść złożyła niejednego w grobie.

**BOTERO:** Jako znany wszem medyk lub znawca przedmiotu  
wskażę tobie Tristianie lek dosyć skuteczny.  
Oto dzisiejszej nocy bal, bal w della Regione.  
Tam nadobne panienki w laury ozdobione  
wytlaczają z gron złotych nektar ukojenia,  
co wróży śmiertelnikom rychły kres cierpienia  
zadanego grotami lotnego Erosa.  
Pośród nimf onych będzie różana westalka,  
powabna swą urodą, boginiom podobna,  
pysznie piękna Lukrecja.

**KŁOCZKOWSKI:** Mamyż zaproszenie?

**BOTERO:** Wszakże jestem Botero, pojmujesz –Botero!  
Mój wuj, podesta Padwy, wszędy pierwszym gościem.

**KŁOCZKOWSKI:** Tedy na bal kamraci. Czas pozrywać wianki,  
by je żar pragnień słońca, co w ich trzewiach pali,  
nie wysuszył na wióry delikatnych płatków  
dziewiczej urody.

### SCENA III

*Wieczór w pałacu senatora de Cavallia.*

**LUKRECJA:** Jakiż strój, jakaż suknia zdobić ma mą postać  
dzisiejszego wieczoru.

**JUDYTA:** Każda suknia i każdy strój jest wyróżniony,  
mogąc oblec tak kształtną i uczoną pannę.  
Gładkość twojego lica i bystrość umysłu  
tak harmonijnie spłotła przemyślna natura,  
że sama jesteś sobie najlepszą ozdobą  
i jeno przyzwoitość, przyrodzone wdzięki,  
każe ukryć przed światem w nadobne sukienki.  
Przeto rozważyć trzeba, któraż kiecka najmniej  
oszpeci twoją postać.

**LUKRECJA:** Ta zbyt zwiewna, ta ciężka, a ta zbyt jaskrawa.  
Poprawdzie strój kobiecey to męcząca sprawa.

**JUDYTA:** Ta zda się idealna. Odślania ramiona,  
podkreśla smukłą kibić, współgra z barwą skóry  
i żywością oka.

**LUKRECJA:** Zaiste trafny wybór. Suknia znakomita.  
Ufam, że me powaby splecione z odzieniem  
większą dziś wzbudzą śmiałość pięknego młodzieńca,  
co w czasie balu w Casa di Ezzelino tak  
palił mnie żarem oczu, deklamując wiersze.

**JUDYTA:** Jak zowie się ów młodzian?

**LUKRECJA:** Tego nie jestem pewna. Jego towarzysze,  
wołali go Tristanem, uważasz Tristanem,  
lecz zdaje mi się, że on inne nosi miano.  
Musisz droga Judyto koniecznie wywiedzieć  
się wnet o jego godność, ród i pochodzenie.  
Przednią k`temu sposobność mieć będziesz na balu  
w Palazzo Regione, gdzie tłumnie przybędzie  
kwiat studenckiej młodzieży z najprzedniejszych domów  
całutkiej Europy.

**JUDYTA:** Czy będzie tam twój ojciec, szlachetny Cavallia?

**LUKRECJA:** A jakże, będzie z całym towarzystwem Padwy:  
podesta Venerio, profesor Robertello,  
czcigodny Sigoniusz...

**JUDYTA:** A twoi kuzyni?

**LUKRECJA:** Ricardo i Tiberio? Owszem, niemal na pewno.

**JUDYTA:** A ich towarzysze?

**LUKRECJA:** Mówisz o tych posępnych przybyszach z północy?

**JUDYTA:** Tak, młody Albrecht, szlachcic cnego rodu z Prusiech i jego sławny kompan bystroumny Reinhold.

**LUKRECJA:** Nie wiem, czy zaproszono protestancką szlachtę.  
Co do mnie nie przepadam za ich towarzystwem.  
Te szaroczarne szaty, wiecznie chmurne miny  
ziejące fanatyzmem w nastroszonych kryzach,  
czynią z nich nieprzyjemny i wstrętny mi obraz  
rozsierdzonych indorów lub syczących gęsi.

**JUDYTA:** Jednak ów rycerz Albrecht zdaje się młodzieńcem kształtnego oblicza i cnego charakteru.

**LUKRECJA:** A mi się zdaje, że ów szarobury gąsior  
zajmuję twą uwagę ponad zwykłą miarę.  
Może więc będziesz miała jakową sposobność  
spotkać go dziś na balu. Tymczasem się bieżmy  
do przymierzania sukien.

*Do pokoju Lukrecji puka i wchodzi Ricardo*

**RICARDO:** Witaj droga kuzynko, kwiecie kwiecistości.

**LUKRECJA:** Mężny Ricardo. Cóż za wyszukane strofy.  
Dość się natrudził kuzyn składaniem tych słówek,  
Godnych jedynie losu tych zerwanych kwiatków,  
Które tak miernie chwala.

**RICARDO:** Już w dzieciństwie Lukrecja ciętym słowem gryzła  
Ambicje swych kuzynów, w twym zwłaszcza Ricarda.  
Zapewniam ciebie jednak, jak czyniłem wprzódy,  
Że choćbyś wyostrzyła swój język na kosę  
Ja będę tym kamieniem, co wystrzępi drwinę  
I ujmie pychę w dyby małżeńskiego stanu.  
Jako ma żona będziesz szanowała męża.

**LUKRECJA:** Ach na pewno tak będzie w czas letniej śnieżycy  
Lub kiedy suchą nogą przejdiesz do Sardynii.  
Tymczasem idź z Tiberiem knuć wasze intrygi,  
Byle z dala od kwiatów mojej kwiecistości.

## SCENA IV

*Wieczór w sali Uniwersytetu.*

**ZAMOYSKI:** Mości panowie, miała Padwa i Bolonia  
niegdyś rektorów z Polski, a profesorami,  
luminarzami sławnych italskich uczelni  
byli nasi krajanie. Zacni waszmościowie,  
czas znowuż by Sarmata starał się o urząd  
na Uniwersytecie w starożytnej Padwie.  
Należy w tajemnicy do ostatniej chwili  
trzymać przed brescianami mą kandydaturę.

**KŁOCZKOWSKI:** Będzie jak postanowiono. Wszystko ułożone.  
Kto zgłosi twą osobę?

**ZAMOYSKI:** (obejmując Kłockowskiego)  
Nasz czcigodny kandydat, sam imię Piotr Kłockowski,  
który w ostatniej chwili zgłosi rezygnację.

**KŁOCZKOWSKI:** Ha! Niemce zzielenieją, lecz cóż ich stronnicy.  
Ricardo zda się szczwany i przebiegle czujny.  
Takimż zda się Tiberio, lis wściekle zawistny.

**ZAMOYSKI:** Zapalczywy Tiberio nadto jest gorący,  
nazbyt się tam krew burzy, by dosłyszał śpiewy  
polotnego umysłu. Co zaś do Ricarda  
mam pewne sposoby i sprawdzone ścieżki,  
które gładko odwiodą jego intencje  
z drogi celów brescianów i sprawy rektorstwa.  
Tymczasem przyjaciele niech maski dobrego  
humoru skryją plany przed zbyt wścibskim okiem.



## SCENA V

Pałac senatora Cavallia

**TIBERIO:** Witaj mój zacny stryju, prawy senatorze,  
z którego talentów tak łąpczywie korzysta  
Wenecka Signioria.

**CAVALLIA:** A! Mój śmiały bratanek, zawzięty Tiberio.  
Gdzieżeś zgubił Ricarda? Wždy razem knujecie  
jak oskubać stryjaszka z jego licznych włości.

**TIBERIO:** Po prawdzie tonę z żalu...

**CAVALLIA:** Z żalu? Toniesz bratanku raczej w licznych długach,  
które pragnąłbyś pokryć z moich apanaży.

**TIBERIO:** Tonę z żalu mój stryju, że stoisz na drodze  
do szczęścia swojej córki, przepięknej Lukrecji.

**CAVALLIA:** Szczęścia! W zamęściu z tobą znalazłaby raczej  
sromotne kłopoty i niechybną biedę.  
Mnie bratanku nie weźmiesz na gładkie słóweczko,  
wdzięczną rymami odę lub tanie pochlebstwo,  
które zagrzewać mogą ino nuworyszy,  
cudzoziemskie przybłędy i nędzne miernoty.  
Jeśli więc tu przychodzisz truć mi o zamęściu  
z moimi aktywami, daj pokój wysiłkom,  
głuche na nie me ucho mój drogi krewniaku.  
Wszelako jeśli chciałbyś stryjowskiej porady  
jak pozbyć się masz długów i hańby z honoru,  
służę wszelką pomocą i korzystną radą.

**TIBERIO:** Jakaż zatem rada, jakie to sposoby.

**CAVALLIA:** Pozbądź się wierzyciela, a zbędziesz i długi.  
Wszak to Żyd Aron twojej kiesy stręczycielem.

**TIBERIO:** A cóż prawa Signiori. W getcie Żyd bezpieczny.

**CAVALLIA:** Od kiedy to bratanek tak przestrzega prawa,  
A może brak ci serca do odważnych czynów.  
Wyjąwszy Polskę z Litwą -owych sławnych w świecie,  
wstrętnych pocziwym duszom, „Przytulisk herezji”  
w całej Europie tumult i krwawe pogromy  
żydowskiego kupiectwa, co ze szcuzrym pyskiem  
uchodzi przed stosami. Czas za tym przykładem  
pognębić Judejczyków i w czcigodnej Padwie.

**TIBERIO:** Cóż podesta Venerio?

**CAVALLIA:** Przytka sobie oczęta pękatą sakiewką,  
którą po brzegi wypcha chciwość naszych kupców.  
Od wielu lat nasz handel dusi judzki procent.

**TIBERIO:** Pogadam z Ricardem.

**CAVALLIA:** Gadanie ostaw starcom. Młódź do czynszu zwołaj.

## SCENA VI

Ulica opodal Casa della Cancelleria, Ricardo zdybany przez Jakuba

**RICARDO:** Niebawem dług mój spłacę z całutkim procentem.

**JAKUB:** Wybacz szlachetny panie, ale to niebawem  
trwa od paru miesięcy bez żadnych postępów.  
Płać lub praw swych dochodzić będziemy przed sędzią  
lub naszą wiarygodność sprzedamy bankierom,  
co mają już sposoby, by wydusić pieniądze.

**RICARDO:** Od dziś za tydzień wszystkie długi moje będą  
z procentami spłacone.

**JAKUB:** Trzymam pana za słowo.

Jakub wychodzi, zaś młody Zamoyski nadchodzi

**ZAMOYSKI:** Namolny niby komar, co na krew poluje.

**RICARDO:** Mości Zamoyski, sławny konsyliarz nacji polskiej;  
cóż taką znakomitość sprowadza w me progi.

**ZAMOYSKI:** Troska o pańskie sprawy.

**RICARDO:** Powiadasz pan, że troska.

**ZAMOYSKI:** Nie inaczej.

**RICARDO:** Moje sprawy to...

**ZAMOYSKI:** Długi, całkiem spore i bez jasnych widoków,  
Mój szlachetny Ricardo, na onych spłacenie,  
a wierzyciel jak szakal krąży u drzwi domu,  
dybiąc na cześć i honor, a może i wolność.

**RICARDO:** Masz na to lekarstwo?

**ZAMOYSKI:** Dziś darmo nie leczą.

**RICARDO:** Jakaż zatem twa cena?

**ZAMOYSKI:** O tym innym razem.

**RICARDO:** Wszakże na ile liczyć może ma choroba?

**KŁOCZKOWSKI:** Lekarstwo zwyczajowe: trzydzieści srebrników.

## SCENA VII

Ulica opodal del Capitano, zdyszany Tiberio spotyka Reinholda

**TIBERIO:** Ach bywaj cny Reinholdzie. Zbiegłem całe miasto, szukając Ricarda, lecz on przepadł bez wieści, a ja jak nigdy przedtem pomówić z nim muszę.

**REINHOLD:** Od wczorajszej nocy nie widziałem zucha, lecz jeśli mogę służyć ci jaką pomocą...

**TIBERIO:** Ha! W samej rzeczy możesz. Reinholdzie co mniemasz o *lex de non tolerandis Judaeis* w Europie

**REINHOLD:** To pożyteczne prawo. Tępi niecną lichwę i ochrania uczciwych przed szalbierstwem Żydów.

**TIBERIO:** Reinholdzie czy masz długi na lichwiarski procent u naszych Żydów w Padwie?

**REINHOLD:** Z dwadzieścia florenów.

**TIBERIO:** Podług mnie nie masz długów lub raczej będą one wszystkie umorzone.

**REINHOLD:** Szykujesz jaki pogrom?

**TIBERIO:** Zwłaszcza na dom Arona.

**REINHOLD:** Kiedy mam być gotów?

**TIBERIO:** Oto godna postawa prawdziwego Niemca, który szanuje wiarę i rzymski porządek. Nie dalej jak w niedzielę zaraz po północy ruszymy z pochodniami na szczurze siedzisko. Tymczasem gotuj oręż i strzeż tajemnicy naszego przysiężenia.

## SCENA VIII

Albrecht sam przy Pizza d'Erbe

**ALBRECHT:** Nadchodzi zwolna wieczór, który jak kotara przesłoni krwawą scenę chwalebego czynu, co uskrzydli mój honor.

Jakaż daleka droga  
wiedzie od pierwszej myśli o morderczym akcie,  
a chwilą jej przemiany w realne zdarzenie.  
Żagiel naszych ambicji napędzany krzykiem  
zacieklej nienawiści i przemożnej woli,  
popycha okręt życia na mieliznę śmierci.  
Jakże ów czyn odmieni mą znękaną duszę.  
Czy chwalebność przesłanek przesłoni akt mordu?  
Czy przyczyna niechęci jest dosyć zasadna?  
Czemuż to człowiek musi doświadczyć zdarzenia,  
by odczuć mękę grozy wyrzutu sumienia.  
Czyliż już same myśli nie dość trują umysł,  
by obudzić świadomość spełnionego grzechu?  
Jeżeli mogę prosić o jakie natchnienie,  
oprócz własnej boleści i udręki głowy,  
Które rykiem oslepia prawy sąd o sprawie,  
prosiłbym o znak jaki co rozstrzygnąć zdoła  
Skowyczącą niepewność zbiedzonego serca.  
ale cisza, ni słowa, ktoś się tutaj zbliża.  
Wszak to owa dziewczeczka, którą był widywał  
w pałacu senatora przy pannie Lukrecji.  
Nie widząc mnie wprost idzie do mego ukrycia.  
Stań, coś mówi.

**JUDYTA:** (*sama do siebie*) „Wszystko co może ludzi na tym świecie dzielić,  
dzieli was oboje”.

**ALBRECHT:** Dziwna mowa, wszak postać dwa razy piękniejsza  
niżli ją wprzód widziałem w domostwie Cavalli  
Już wtedy hoże serce, co w mej piersi bije,  
rwało się ku jej wdziękom.

**JUDYTA:** Któż to świat tak ułożył, kto rzecz tak urządził,  
że dwoje ludzi złączyć nie może ich miłość,  
choć serca wzajem biegną ku sobie otwarcie.  
Wszak widziałam to w każdym Albrechta spojrzeniu,  
kiedy ukradkiem śledził mnie w domu Cavalli,  
że dusza jego do mnie przez miłość należy.  
Czemuż to piękny Albrecht nie jest Judejczykiem  
lub ja sama nie jestem zwyczajną Niemkinią  
lub razem nie jesteśmy choćby Anglikami,  
Węgrami czy Czechami, młodzią z Rusi, Szwecji,  
lub Sarmatami z Polski.

**ALBRECHT:** (wychodzi z ukrycia): Wszystkim czym każesz byle by nie Polakami.  
Dla twoich oczu mógłbym przemienić się w Szkota,

Albo nawet Duńczyka, lecz imię Polaka  
wrogie jest dla mnie z serca.

**JUDYTA:** Panie, słyszałeś wszystko.

**ALBRECHT:** Dostyc by wiedzieć pani, żeśmy sobie przez los  
na wieczność przeznaczeni.  
Szczerze wierzę, że ciebie Pan Bóg mi przeznaczył.  
Otom w czas wahań, które tłukły się po głowie,  
prosił opatrność Niebios o znak Jego woli,  
mgłę mych rozterek rozwiął obraz twej postaci  
wołającej o prawo do miłości wolnej  
od szaleństw tego świata.

**JUDYTA:** Nie jest to jaki podły żart lub zwykła kpina?  
Czemuż wacpan mnie nękaś? Podstępem pan wykradł  
klucze do skarbu serca zakochanej duszy.  
Może zwyczajem samczym, powszednim u mężczyzn,  
dybiesz teraz na frukta mej nieprzezorności.  
Jakże mam wierzyć ustom, co pieją o szczerść,  
skoro przyczyną śpiewu, co w tryumfie woła,  
nieszczere łowy ucha tożsamego pana.  
Czyż możesz ręczyć panie za swe kształtne usta,  
nie mogąc już zaprzeczyć podstępności ucha.

**ALBRECHT:** Spójrz pani w moje oczy jak w odrzwia do duszy  
i jeżeli potrafisz czytać czystym sercem,  
dojrzysz tam szczerą miłość gotową na wszystko.

**JUDYTA:** Tedy razem uchodźmy od naszych korzeni,  
co głęboko wrosnięte we wrogie nam światy,  
oddzielają nas murem wieczystej niechęci.

**ALBRECHT:** Gdzież więc mamy uchodźć?

**JUDYTA:** Prócz Polski żadna ziemia w dzisiejszej Europie  
nie przyjmie apostatów - wiary odszczepieńców -  
wzajem tak obcych nacją i własnym wyznaniem.  
Może tedy do Turcji?

**ALBRECHT:** Będziem muzułmanami? Mamyż rugać duszę?  
Cóż za przewrotność losu lub może Opatrzność,  
która miłością pragnie wyprzeć mą nienawiść.  
Jeśli to wola Niebios, jeśli Bóg tak zrządził,  
a przec sam o znak prosił, niechaj więc tak będzie.  
Jedziemy do Polski.

**JUDYTA:** Dziś luby po północy. Czeakać ciebie będę  
tutaj przy *Pizza d`Erbe*

**ALBRECHT:** Tutaj przy *Pizza d`Erbe* będę stać gotowy.

## SCENA IX

Reinhold przy kwaterze nacji polskiej

**REINHOLD:** Dzień dobry waszmościom.

**KŁOCZKOWSKI:** Cóż to sprowadza jagnię między rącze wilki.

**BOTERO:** To już nie baran, ale sercopłoche jagnię?

**REINHOLD:** Ja nie szukam zaczepki.

**KŁOCZKOWSKI:** Cóż wszak jeśli zaczepka śmiało szuka ciebie.

**BOTERO:** A cóż jeśli zaczepka już waści dopadła.

(wychodzi Zamoyski)

**ZAMOYSKI:** Witaj zacny Reinholdzie.

Jeśliś przybył rozmówić się ze mną na boku  
pójdź do mej kwatery, lub też niechaj samych  
pozostawią nas tutaj moi towarzysze.

**KŁOCZKOWSKI:** Niechaj zatem gruchają miłe gołąbeczki  
w tym zacisznym ustroniu, a my waszmościowie  
spieszmy poszukać masek na dzisiejszy wieczór.

**ZAMOYSKI:** Z czym zatem przychodzisz?

**REINHOLD:** Cóż miałbym robić w Polsce.

**ZAMOYSKI:** Ja będę sekretarzem króla Jegomości;  
ty mógłbyś zostać moim.

**REINHOLD:** Tiberio zbiera ludzi do pogromu Żydów,  
Nie dalej jak w niedzielę, tu, w padewskim getcie.  
Zdaje się, że za wszystkim stoi jego stryjek  
pan senator Cavalia.  
Ricardo w czas elekcji na rektora w Padwie  
otoczył chce zbrojnymi plac uniwersytetu.

**ZAMOYSKI:** Dobrze się waszeć sprawił, masz me zaufanie.  
Teraz bież do Tiberia, bacz na jego sprawki.  
Spotkamy się po balu u mnie na kwaterze.

**REINHOLD:** Ktoś nadchodzi!

**ZAMOYSKI:** To nasz stary Żyd Aron, poznaje po chodzie.  
Ostaw nas tutaj samych. Mam do niego sprawę,  
a w tym także i twoją, co na parę florenów  
ciąży ci w pustym mieszkcu.  
Bywaj.

**ARON:** Wszakże to pan konsyliarz sławnej nacji polskiej

złotousty Zamoyski, pierwszy wśród Sarmatów,  
a ów młodzian, co śpiesznym krokiem cię opuścił  
to chyba bystry Reinhold.

**ZAMOYSKI:** Mam do ciebie Aronie sprawę w jego sprawie,  
jak też w sprawie Ricarda, w końcu w twojej własnej.

**ARON:** Sprawa pierwsza i druga dotyczy ich długów.  
Czyżbyś chciał spłacić obu? Co się zaś tyczy trzeciej,  
tej sprawy w mojej sprawie, to jest własnej sprawie,  
dalibóg nie wiem jakiej kwestii ona tyka,  
bo przecie nie pożyczki, skoro tych chcesz spłacić.

**ZAMOYSKI:** Tych obu spłacę długiem, lub wierzytelnością,  
którą na własne konto zaciągniesz Aronie.

**ARON:** Boże uchowaj abym pożyczał pieniądze  
od tak szlachetnych panów, lecz coś mi się zdaje,  
że nie o pieniądź idzie.

**ZAMOYSKI:** Cóż warty pieniądź, kiedy nie będzie nim komu  
obrać cny Aronie.

**ARON:** Aż tak źle?

**ZAMOYSKI:** Pogrom, zwłaszcza twego domu.

**ARON:** Kiedy?

**ZAMOYSKI:** Zbyt szybko, choć nie dzisiaj.

**ARON:** Długi ich umorzone. Oto kwity obu.

**ZAMOYSKI:** Spakuj co ci niezbędne i jutrzejszej nocy  
jedź z rodziną do Polski, k`włościom mego ojca.  
Jako arendarz więcej zarobisz jak w Padwie,  
a pokój wyznaniowy w Rzeczypospolitej  
prawem lechickiej szlachty i trwałych zwyczajów,  
co zapewni ci żywot, i twojej rodzinie,  
wolny od prześladowań.  
W drodze wstąp do Poznania, gdzie u mistrza Quadro,  
Co tam Ratuszy zrychtował, weźmiesz projekt sukiennic.



## AKT III

### SCENA I

*Bal w Palazzo della Regione*

**BERNARDO VENERIO:** Co za przykładowy widok, wielce budujący.  
Ramię w ramię Sigoniusz i cny Robertello.

**SIGONIUSZ:** Ramię w ramię podesto? Raczej przy ramieniu  
i coś jakby obok.

**ROBERTELLO:** Na więcej dziś nie zdołam się panie poświęcić.  
Dosyć już mi dokucza jego towarzystwo  
i ta horda studentów, niesfornych nieuków,  
co przy byle okazji kłają mą godność.

**SIGONIUSZ:** Zaprawdę dziwna sprawa, bo i Robertella  
otacza tłum żaków, istna horda kmiaci,  
lecz żaden lichym żądłem ukłóć mej godności  
dotychczas nie zdołał.  
Widać ten co im ostrzy dowcip z marną wprawą  
nie ma dosyć talentu i niezbędnej wiedzy,  
aby celnymi słowy godzić w słabe głowy.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Czy to się godzi godzić zacny profesorze.

**SIGONIUSZ:** Kto nie godzi w głupotę sam pada jej pastwą.  
Ta bowiem jest jak wietrzyk w czas letnich upałów.  
Jeśli wieje wśród pustych przestrzeni niebytu  
nie czyni żadnej szkody, zdana swej ochocie.  
Wszak kiedy ów wiatr wejdzie z całym apanażem  
pomiędzy statki w portach młodzieńczych zapędów  
i krotochwilną pieśnią wezdmie żagle pychy,  
wnet wzdęte niepokojem, rozjuszone stekiem  
górnopustych frazesów i buńczucznych hasel,  
poczną się wzajem ścierać i niszczyć zawzięcie,  
obracając w perzynę ład i spokój ziemi.  
Kto więc naiwnie stroni od chaosu świata,  
co się karmi potrawą z bezdennej głupoty,  
ten wnet pada ofiarą onejż zachłanności,  
klnąc wraz swoją nieczułość dla swawoli głupców.

**ROBERTELLO:** O jakże mam podesto ścierpieć urągania  
zadufanego w sobie mędrka mdłej mądrości.  
Czy sądzisz Sigoniuszu, że się jeden karmisz  
Sosami uczoności i pasztetem wiedzy;  
czy żeś już tak nadęty, by śmieć twierdzić w oczy,  
iż sam spieś nektary wszelkich prawd i racji.  
Latami Robertello ślęczy nad tomami  
zapisanymi treścią najwznioślejszych myśli,  
lecz przyrodzona skromność i wzór wychowania  
nie pozwala obnosić się przed całym światem,  
co na stoły podają w jadalni mej głowy.

**SIGONIUSZ:** Tak jak z pustego dzbana Salomon nie naleje,  
takoz i Robertello z próżni miernej głowy  
nie wycisnie kropelki najskromniejszej myśli,  
godnej miana mądrości; a i choćby się opasł  
tomami ksiąg jak trawą młode bydle w kniei,  
nie robi on użytku z wypchanych kałdunów,  
lecz przygniecion ciężarem niepojętej wiedzy,  
jęczeń będzie z boleści, wijąc się jak robak.  
Tymi właśnie jękami zatruwa umysły,  
co tknięte tą zarazą, wyją jak kurczaki  
wypchane mierną paszą i zepsutą wodą.  
Tak się ten drób namnożył po całym tym świecie,  
że jeno wojny kurcząt panoszą się wkoło,  
niszcząc wszem pokój boży.

**ROBERTELLO:** Ani chwili nie będę dzielił towarzystwa  
z nadętą butą gburą zwanym Sigoniuszem.  
Dobrej nocy podesto. Żegnam senatorze.

(Robertello wychodzi)

**SENATOR DE CAVALLIA:** Zaprawdę ostry język mości profesorze.

**BERNARDO VENERIO:** Liczyłem na coś więcej niż publiczna zwada,  
Ta kłótnia w moich oczach to złowieszczą zdrada,  
Z której lęgną się burdy. Wszak z takiej niezgody  
chaos bierze początek, a nieszczęście koniec.  
Baczmy przeto by koniec nie złał naszych ulic  
krwią cnych obywateli i zaciętych żaków.  
Sigoniuszu pod strażą wrócisz dziś do łoża  
i przez tydzień się nie waż opuszczać pokoje.  
To samo Robertello.  
Niech żaden nie wychyli głowy za drzwi domu.  
Po wyborach ucichnie przedwyborcza wrzawa  
i spokój wraz z porządkiem powróci do Padwy.  
Wtedy ukrócimy prawa studenckiej swobody.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Zaprawdę słuszne słowa szlachetny podesto.  
Poprę twoje zamiary na sesji senatu.

## SCENA II

Zamoyski czyta list w drodze do Palazzo della Regione.

**ZAMOYSKI:** „Tiberio wraz z Albrechtem uknuli cię zabić;  
Jeśliś śmiertelny strzeż się ich szalonej złości”  
[R].

Tanio kupiłem życie roztropny [R]einholdzie.  
Zatem postanowili mnie zabić złoczyńcy.  
Zamysł pewnie Tiberia, Albrecht wykonawcą.  
Trzeba to tak ułożyć, aby ich pogrążyć,  
a samemu wyciągnąć największe korzyści.  
Wielu na moim miejscu czmychnęłoby chyłkiem  
hen za wyniosłe Alpy, ale gracz wytrawny  
potrafi wykorzystać przydaną sposobność  
do osiągnięcia celu jaki sam zamierzył.  
Nie żar we krwi napędem ogólnych zachowań,  
nie pragnienia skąpane w ślepej żądzy władzy,  
lecz chłodna i praktyczna kalkulacja celu.  
W takowej konfrontacji wżdy Antoniusz padnie  
w starciu z Oktawianem jak pada zew serca  
przed wyważonym sądem. Honor, wiara, miłość  
wszystko to transparenty człowieczych ambicji  
wyjących w pierwocinach zwierzęcej natury  
lub też wrodzonej ludziom dziwnej żądzy władzy.  
Rzadko wszak kto śmiertelny grać na żądzach umie,  
Szukając wsparcia w myśli zrodzonej w rozumie.  
Trzymajcie się więc krzepko mierni wichrzyciele.  
Oto mistrz ceremonii wkroczył dziś na scenę.

### SCENA III

*Frakcja wincentyńska przy schodach do sali balowej w Palazzo della Regione.*

**KŁOCZKOWSKI:** Sigoniusz poszedł w areszt; także Robertello.  
Pewnikiem są to sprawy stronnictwa brescianów.

**BOTERO:** Wszak w areszt poszli obaj starzy profesorzy.  
Któż chcąc godzić we wroga, godzi w własną głowę.

**KŁOCZKOWSKI:** Widać, że się poznali, iż mózg Sigoniusza  
warto łąba Robertella lub, że Robertello  
nie godzien Sigoniusza, lub właściwie, że warto  
stracić Robertella, by zgubić Sigoniusza.

**BOTERO:** Zawiała ta roszada.

**KŁOCZKOWSKI:** Dość że *suma sumarum* poświęcili śliwkę,  
by wraz z nią dąb obalić.

**BOTERO:** Nadchodzi dzielny Tristan.

*Wchodzi Tristan*

**TRISTAN:** A cóż to bal czy stypa. Gęby nadąsane,  
wzrok żwawym gniewem płonie, czoła brwią zorane,  
a ząb we krwi już tonie. Rzekłby kto, że na bitwę,  
nie na bal idziecie.

**KŁOCZKOWSKI:** Cny Sigoniusz w areszcie.  
W areszcie domowym, skąd nosa nie wychyli,  
aż mu nie dozwolą. Stoją za tym brescianie.

**BOTERO:** Stoi za tym Tiberio i ten kundel Albrecht.

**TRISTAN:** Zali to rzecz sprawdzona? Macie już dowody?

**KŁOCZKOWSKI:** Spójrzcie, wchodzi Ricardo z zawziętym Tiberiem,  
za nimi kroczy Albrecht z tym chłystkiem Reinholdem.

**BOTERO:** Jeśli pytasz o dowód mój dzielny Tristanie,  
wejrzyj na te oblicza, co bezczelną drwiną,  
wrytą na tych gębach pąsowym rumieńcem,  
tryumfują zwycięstwo hardego podstępu;  
lecz ten owoc szalbierstwa wnet żółcią zapłonie,  
dusząc jadem odwetu pazerne gardziele.  
Dziś przy byle okazji nabiję na rożen  
mej hożej nienawiści, pruskiego kapłona.

**TRISTAN:** Zbliża się imć Zamoyski.

*Wchodzi Zamoyski*

**KŁOCZKOWSKI:** Znane są ci już wieści mości konsyliarzu.  
Cóż czynić nam wypada?

**ZAMOYSKI:** Zachowamy spokój.

**BOTERO:** Spokój jest dla spokojnych, to jest krów lub owiec.  
Jam dziś zbyt niespokojny, by spokój zachować.

**KŁOCZKOWSKI:** Ale oto i panny; bal się rozpoczyna.

**ZAMOYSKI:** Tristanie, dzielny druhu, pójdz ze mną na stronę.

## SCENA IV

*Zamoyski i Tristan w pałacowej loggi.*

**ZAMOYSKI:** Dawno już miły druhu, nie było okazji,  
by z sobą porozmawiać, jak za dawnych czasów.

**TRISTAN:** Wybory na rektora całkiem pochłonęły  
uwagę Zamoyskiego. Czas jaki miał niegdyś  
dla starych przyjaciół, teraz trwoni na schadzki  
z grupą konsyliarzy.

**ZAMOYSKI:** Wszak martwi mnie i boli, że mój druh nie wita  
mnie z dawną serdecznością, do której przywykłem.

**TRISTAN:** Me serce nie ochłodziło dla dobrych przyjaciół,  
ale ciężar boleści zubożył je nieco dla całego świata.  
Stąd przygniecion cierpieniem i jego troskami  
zapominam niekiedy o cnych powinnościach  
względem wiernych przyjaciół.

**ZAMOYSKI:** Znam źródło słodko- gorzkich trosk i tej boleści,  
co wyciska cierpienie na twej kształtnej twarzy.  
To istne wywierzyisko burzliwych afektów,  
co stępując strumykiem naciera potokiem  
nieokiełzanych uczuć. Wszak trzeba ci wiedzieć,  
że niektóre ze źródeł zwanych pieniawami  
nie tylko czystą wodę wyrzucają z siebie.  
By jednak poznać smaki odwiecznych goryczy  
trzeba sięgnąć po kielich wypełniony miodem  
złudnych z kształtu słodczy. Mam nadzieję, że waści  
nie będzie zbyt gorzki i otrząśniesz się ze snu  
nim zmogą się mary.

**TRISTAN:** Zraniono cię więc bracie.

**ZAMOYSKI:** Tak, raz jeden i bodaj raz jeden ostatni.  
Jakże jałowe jednak byłoby me życie,  
gdybym choć ten raz jeden nie poczuł w mej piersi.  
Aby zatem i tobie przypadły te znoje,  
szepnąłem nieco w ucho rzeńskiego Cavalli.  
Tymczasem przyjacielu mój i drogi bracie  
wystąpić musisz przeciw mej kandydaturze,  
ale wyłącznie pośród naszych panów szlachty.

**TRISTAN:** Rozmawiałaś z Cavallą, ojcem mej Lukrecji?!

**ZAMOYSKI:** (z ironią) To Lukrecja już twoją?

**TRISTAN:** (zawstydzony zmienia temat)  
Nie wiedziałem Zamoyski, że sam kandydujesz  
na urząd rektorski.

**ZAMOYSKI:** To ścisła tajemnica.

**TRISTAN:** Czemuż jednak mam przeciw tobie zacny druhu gardłować pośród szlachty.

**ZAMOYSKI:** Przyrodzone Sarmatom, stare przywiązanie do szlacheckich wolności, każe naszym braciom z zasady oponować przeciwko tym, którzy zbyt wysoko urosli, ponad równy ogół. Niechętnie i zazdrośnie patrzy polskie oko na powodzenie krajan, nawet, kiedy idzie ku pospólnemu dobru wspólnych interesów. Pragnąc uprzędzić *vota contra* mej osobie, chcę byś wystąpił przeciw z niemądrym zarzutem. Tak utracim w zarodku, a właściwie wcześniej, wszelkie burzące jedność wołanie zawiści.

**TRISTAN:** Głęboko ja wierzę, że *pro publico bono* starasz się o ten urząd, który w twej osobie przyda laury Ojczyźnie i szlachetnym przodkom. Przeto znając Sarmatów, z radością wypełnię twoją rozsądną prośbę.

**ZAMOYSKI:** Mam wszakże i drugą.

**TRISTAN:** Kiedy Zamoyski prosi, prośba już spełniona.

**ZAMOYSKI:** Lękam się czy dzisiejsze wypadki nie skłonią przeciwne frakcje żaków do jakiś tumultów i ulicznych utarczek. Prośbę więc mą spełnij pomny na naszą przyjaźń i zaraz po balu udaj się na kwaterę, omijając place.

**TRISTAN:** Wszak wiesz, że nasz Botero zatarg ma z Albrechtem, który pono dość sprawnie potrząsa rapierem. Nie mogę więc ostawić samego Botera.

**ZAMOYSKI:** Zacny Janie, byłoby bardzo nie na rękę, gdyby w bójkach studenckich wmieszano Sarmatów w przeddzień samych wyborów.

**TRISTAN:** A zali śmierć Botera nie byłaby także przeciwko naszym planom. Wszakże ty milczysz, Zamoyski...

**ZAMOYSKI:** Już Tiberio z Albrechtem wydali swój wyrok na głowę Zamoyskiego. Botero to niezły, ba nawet dobry szermierz.

**TRISTAN:** A jeśli padnie martwy pomści go Venerio, co za swego siostrzeńca rozprawi się z frakcją prusko-włoskich brescianów. Wtedy imć Zamoyski zostanie się rektorem.

**ZAMOYSKI:** Botero jest jak Milon,<sup>5</sup> a Albrecht to Klodiusz.  
Pionki już rozłożone, ruszyła rozgrywka.

**TRISTAN:** A gdzie honor szlachecki, nie boisz się Boga?  
Czy może takie właśnie zanosisz modlitwy?

**ZAMOYSKI:** „Głupotą jest się modlić o to co człek zdobyć  
może własnym działaniem” –Epikur.  
Nie bądź naiwny Janie, to gra polityczna.

**TRISTAN:** Zaprawdę jesteś dzieckiem weneckiej nauki,  
ale ja nie przestałem być prawym Polakiem.

*Tristan wychodzi, a wchodzi KŁOCZKOWSKI*

**KŁOCZKOWSKI:** Ten gołowąs nie dorósł. Głos *contra* ja złożę.

**ZAMOYSKI:** *Interim* czuwaj nad nim, zwłaszcza dzisiaj w nocy.  
Zagrzewaj też nienawiść rączego Botera,  
lecz gdy dojdzie do jatki usuń naszych z placu.  
Niechaj zostaną jeno Włosi wraz z Niemcami.  
Na nich spadnie to odium; nas zaś obwołają  
obrońcami pokoju. Ot gdzie tylko mogłem  
wołałem przeciw o spokój jak woła na kaczkę  
myśliwy wprawny w łowach.

---

<sup>5</sup> Titus Annius Milo (zm. 48 r. p.n.e.), rzymski trybun ludowy, stronnik senatu i Cyncerona, zwalczał oddziały trybuna Klodiusza Pulchera, stronnika Cezara. Śmierć Klodiusza w walce ulicznej spowodowała proces i (mimo obrony Cyncerona) wyrok skazujący Milona na wygnanie.



## SCENA V

*W Palazzo della Regione*

**LUKRECJA:** Wiesz już kim jest ów chłopiec, znasz ród i nazwisko?

**JUDYTA:** To dziedzic rodu znacznych w Sarmacji Tęczyńskich,  
magnat z Polski, młodzieniec powabnej urody,  
wielkiego nazwiska i jak mówią studenci,  
wielce już rozkochany w urodnej Lukrecji.  
Na imię ma Jan Krystian, przez druhów zwan Tristianem.

**LUKRECJA:** Wypada więc, że będę w tej sztuce Izoldą.  
Pójdź do niego i poproś by przyszedł na taras  
w pałacowym ogrodzie. Tam czekać go będę  
przy źródlanej wodzie bizantyjskiej fontanny.

## SCENA VI

*Zamoyski stoi przy loggi, oglądając z dala brescianów, tuż przy nim, ukryty za kotarą czai się Ricardo*

**RICARDO:** Nie obracaj się panie, użyj jeno ucha  
ważkim dla ciebie słowom.

**ZAMOYSKI:** Wzrok posłałem przed siebie, a słuch za me plecy.

**RICARDO:** Przychodzę po trzydzieści srebrników mój panie.

**ZAMOYSKI:** Dzisiaj w nocy zamieszki zakłóca sen Padwy.  
Doniesiesz więc podeście, że Albrecht z Tiberiem  
sprawcami tych tumultów, co krwią zlewa bruki.  
Jutro wycofasz vota przeciwnych nam frakcji.

**RICARDO:** Kogo więc mają poprzeć?

**ZAMOYSKI:** Niech nie głosują wcale.

**RICARDO:** Kiedy otrzymam trzosik?

**ZAMOYSKI:** Oto kwit twoich długów z rejestru Arona.  
Wraz z upadkiem brescianów twój dług w ogniu skona.

*Wchodzi senator Cavallia*

**MARINO de CAVALLIA:** Ha! Konsyliarz Zamoyski, drogi przyjacielu,  
spośród studentów ciebie jedynie szanuje.  
Wiele byś zyskał gdybyś chciał ostać w Italii.

**ZAMOYSKI:** Więcej zyskam wracając do miłej Ojczyzny.

**MARINO de CAVALLIA:** To rzecz pewna, choć szkoda, żeś nie jest mym zięciem.

**ZAMOYSKI:** Wdzięcznym za twoją łaskę mości senatorze.  
Wiedz jednak, że być może zyskasz zięcia z Polski.  
Oto młody Tęczyński, dziedzic znacznych włości,  
wielce jest rozkochany w twej córce Lukrecji.  
Zdaje się, że szczebiocą teraz w twym ogrodzie.

## SCENA VI

*Ogród; Lukrecja przy fontannie; wchodzi Tristan*

**LUKRECJA:** Jesteś zatem mój panie.

**TRISTAN:** Na twoje rozkazy.

**LUKRECJA:** Mówią żeś jest poetą.

**TRISTAN:** Zbyt to wysoki tytuł dla skroni Krystiana.

**LUKRECJA:** I zbyt niski dla dumy pana na Tęczynie.

**TRISTAN:** Wezwałaś mnie pani.

**LUKRECJA:** O czym piszesz swe wiersze?

**TRISTAN:** Wyłącznie o tobie.

**LUKRECJA:** Proste wyznanie zwykle jest wyznaniem szczerym.

**TRISTAN:** Od czasu balu w Casa di Ezzelino wciąż  
Pani myślę o tobie. Widzę, słyszę, czuję  
W każdym zwiastunie życia twą pani obecność.  
Gdziekolwiek ma myśl pogna, wszędy cię spotyka,  
Wszędy poznaje tchnienie twojego istnienia.  
W każdym przedmiocie, rzeczy i w każdym zjawisku  
Świat zda mi się odbijać twą cudowną postać,  
Co w uniesieniu serca śpiewa słodycz życia.

**LUKRECJA:** I ja od tego czasu nie przestaję myśleć  
O..., o twojej osobie, o twojej postaci.  
Dziw mnie bierze jak łatwo wypowiadam słowa,  
Których za żadne skarby nie byłam gotowa  
Nie tylko głośno wyrzec przed żadnym mężczyzną,  
Ale nawet pomyśleć przed sobą w ukryciu.  
Twoja obecność panie odurza mnie śpiewem,  
Który dobyty z głębin natchnienia snu serca  
Rozwiera nim na oścież oczy mojej duszy.  
Olśniona mocą światła błędzę w tej jasności  
I tańcząc wśród błogości, nutą utulona,  
Naga bezwładnie wpadam w tve panie ramiona.  
Siła z jaką podążam ku hymnom wieczności  
Zwiastuje bramy szczęścia odwiecznej miłości,  
Co woła mnie ku tobie, wzywa mnie do ciebie.

**MARINO de CAVALLIA:** Ha, więc tutaj gruchają moje gołąbeczki.  
Ufam ma droga córo, że dbasz o swą cnotę  
równie jak ja się troszczę o me kiesy złote.  
Proszę, młody Tęczyński, druh imć Zamoyskiego,  
który tak wiele zyskał z przychylności Padwy.

**TRISTAN:** Moje intencje panie ...

**MARINO de CAVALLIA:** Tak, prawe zamiary.

**TRISTAN:** Wszak żadnego uszczerbku na pańskim honorze.

**MARINO de CAVALLIA:** A jakże, pewnie chciałbyś przysporzyć mi mienia,  
darując mojej córce dziedzica fortuny,  
(*tu pokazuje rubasznie brzuch, naśladując ciężarną*)  
lecz na takie rachunki wprzód trza mi kontraktu  
opatrzonego wszędy zgodnymi pieczęci  
podług prawa boskiego i ludzkich zwyczajów.

**TRISTAN:** Jutro zatem ślę listy do mych rodzicieli.

**MARINO de CAVALLIA:** Bądź zdrów tedy, do jutra, i donoś co rychlej,  
Co oznacza niezwłocznie, o ich odpowiedzi.  
Z tego responsu przyszłość, niby z gwiazd na niebie,  
odczytam dla was miłe memu sercu dzieci.

## SCENA VII

*U wejścia do ogrodu Judyta i Albrecht*

**ALBRECHT:** Myślałem, że już ciebie na balu nie ujrzę.  
Szukałem twoich oczu, wśród tych gwiazd w pałacu  
lecz nie mogłem ich dostrzec w tym natłoku światła.  
Schroniłem się więc w odrzwiach, chcąc stąd cię odnaleźć.  
Na nic zdały się wszystkie wysiłki Albrechta.

**JUDYTA:** Może nie dość szukałeś mój piękny Albrechcie.

**ALBRECHT:** Świat zawirował wokół; blask oślepiający  
hałaśliwego blichtru i ciasnego zgiełku,  
złał się w jeden krzyk pompy i gwarnej parady.  
Nie mogąc się przedostać przez tą ścianę wrzasku  
Usunąłem się w cieniu zaległe spokojem,  
By nieotumaniony korowodem pychy,  
Wyglądać twej postaci wolnej od rozděcia;  
A mimo to masz prawo skarżyć mą gorliwość.  
Winien`m cię wypatrywać zamkniętymi oczy,  
zdając się jeno uszom rozkochanej duszy,  
co w tej dolinie wrzasków rozlanych próżnością,  
posłyszają nawet tchnienie twojej kształtnej piersi.

**JUDYTA:** Wybaczam jeśliś nadal gotów razem ze mną,  
w imię tych wzniosłych uczuć, co pierś rozpierają,  
uchodzić hen do Polski.

**ALBRECHT:** Z tobą luba uchodzić mogę i do Scytów.  
Wenus wpisała w serce ku tobie mą miłość,  
Co z zapamiętałością tęskni twojej duszy.

**JUDYTA:** A zatem po północy czekaj mnie na Pizza  
d`Erbe przy ratuszu.

## **AKT IV**

### **SCENA I**

**ARON:** Gdzie Judyta, ma córa

**JAKUB:** Pilnuje nasze sprawy w pałacu Cavalli.  
Głowy nie dałbym jednak, czy wśród gości balu,  
wygląda jeno wrogów, czy baczy Albrechta.

**ARON:** Pójdź synu po swą siostrę i sprowadź ją tutaj.  
Pakujemy dobytek, opuszczamy Padwę.

**JAKUB:** Jak to mój ojcze, kiedy?

**ARON:** Jeszcze dzisiaj w nocy

**JAKUB:** Jakże to opuszczamy? Ojcze

**ARON:** Ani słowa Jakubie; jak rzekłem dziś w nocy  
wyruszamy do Polski.

## SCENA II

*Młody Albrecht w drodze na spotkanie z Judytą na Piazzas d'Erbe*

**ALBRECHT:** Dziwna zawilość losu, co wlał w jeden umysł  
I rozpalone serce, tak sprzeczne uczucia.  
Nienawiść do Sarmacji i miłość do nimfy  
Judejskiego wyznania; wreszcie ta konieczność  
Udania się do Polski, jedyne go kraju,  
Co przygarnia uchodźców ściganych wyrokiem  
Konfesyjnych wrogości. Ta ziemia bez stosów,  
Usiana wolnościami jakich nie masz w świecie,  
Kraj z tłumem różnowierców, odmiennych narodów,  
Płodzi siłę w wielości czerpanej z różności;  
Ale, na Pizze d'Erbe wchodzi tłum studentów  
Rozjuszonych wrogością z frakcji wincentyńskiej.  
Nim nie przyjdzie Judyta skryje się w portyku.

## SCENA III

*Frakcja wincentyńska w drodze na Piazza d'Erbe*

**KŁOCZKOWSKI:** Co za wieczór, co za noc, moi waszmościowie.  
W tak pysznym towarzystwie bawią się królowie  
Lub wielmożni książęta.  
Bawią się studenci!

**BOTERO:** Zbrodnią jest kończyć bale o tak wczesnej porze.

**KŁOCZKOWSKI:** O mój zacny Bolero toć już po północy.

**BOTERO:** Pora to akuratna, by jakiego chłystka,  
posiekać jak kapłona za wczorajszy obiad,  
co tak skwasił mnie zgagą pruskiej bezczelności,  
że teraz jeszcze pali cierpkim smakiem słowa.

**KŁOCZKOWSKI:** Twoje zdrowie Botero, pogromco brescianów!

**BOTERO:** Botero pić nie może za swe własne zdrowie,  
bo Botero jest nie zdrów

**KŁOCZKOWSKI:** Czy ci zaszkodził zapach win z *della Regione*.

*Na Piazza d'Erbe wchodzi frakcja brescianów z Tiberiem, Reinholdem i Ricardem; jednocześnie Botero spostrzega stojącego za kolumną Albrechta.*

**BOTERO:** Zatrąłem się powietrzem, wyziewem morowym,  
którym współ oddycham z przybłądą z Królewca.  
Widać w Prusach po norach chowają się szczury,  
co przed ludźmi udają uczciwych rycerzy.

Albrecht wychodzi z ukrycia

**ALBRECHT:** Czy zamierza obrażać pan książęce Prusy.

**BOTERO:** Nie kmiotku, nie zamierzam, lecz to właśnie czynię.  
Jesteś mi bowiem szczerze tako nienawistny,  
jak całe plemię Niemców. Dziś w twojej osobie  
odpłacę barbarzyńcom za krzywdy Italii.  
Poczuj w piersi me ostrze germański pomioście.

**ALBRECHT:** O nie zdzierży mój honor zajadłej obelgi,  
co potokiem bluźnierstwa hańbi cześć niemiecką.  
Giń zatem włoski błaznie; oto ostrze kary!

*rozpoczyna się walka*

**BOTERO:** Tak pan wierzgasz rapierem, jak osioł ogonem.  
Tu nie miecza lecz bata nie staje Prusaku.

**ALBRECHT:** Waszeć dość dużo gadasz; bacz lepiej na ostrze,  
Bo wyziewasz mi ducha nim zdążysz obaczyć,  
Jak zanurzam w twym ciele stal aż po rękojeść.

**BOTERO:** Nadtoś pewny baranie, lecz brak ci finezji,  
Co gładkimi cięciami wydrze cię ze ścierwa,  
By przegonić do piekła zuchwałą duszyczkę.

*Nadbiega Tristan*

**TRISTAN:** Wstrzymaj się mój Botero! Schowaj rapier bracie!

**KŁOCZKOWSKI:** Dalej dzielny Botero, pomści hańbę Rzymu!

**TIBERIO:** Nie wahaj się Albrechcie, wesprę twoje ramie.

**BOTERO:** Tristanie stawaj przy mnie lub uchodź w niesławie.  
Opuszczony przez druha sam zmiotę Albrechta.  
Dalej pruski łajdaku, poczuj ostrze śmierci!

*Botero walczy z Albrechtem; do potyczki włącza się Tiberio*

**ALBRECHT:** Więcej nędzniku krzyku właściwego babom  
niż tutaj dajesz sztychem; dalej paruj cięcie  
i rusz tchórzliwe ramie.

**TIBERIO:** Śpiewajże już pacierze wincentyński klaunie.

*Albrecht z Tiberiem przypierają Botera do muru*

**TRISTAN:** Przestańcie! Wszak podesta pod groźbą kar srogich  
zakazał bójkę w mieście.

*Albrecht trafia w pierś Botera; Tiberio poprawia w brzuch sztyłem*

**TIBERIO:** Giń wincentyńskie ścierwo godne jeno piachu!

**TRISTAN:** Botero!



**BOTERO:** Tristanie

*Botero upada, Albrecht z Tiberiem odchodzą*

**TRISTAN:** Botero przyjacielu.

**BOTERO:** Przyjaciel nie opuszcza swego przyjaciela.

*Botero umiera na rękach Tristana*

**TRISTAN:** Albrecht! Tiberio! Stawać!

*KŁOCZKOWSKI usiłuje odwieść Tristana*

**KŁOCZKOWSKI:** Tęczyński, nic tu po nas. Czas wezwać podestę.

**TRISTAN:** Albrecht! Tiberio! Stawać!

*Tristan z szablą w dłoni dobiega do Tiberia i jednym cięciem po gardle pozbawia życia.*

**TRISTAN:** ...a teraz ty Albrechtcie.

**ALBRECHT:** Nie chciałem krwi przelewać; sam się o to prosił.

**TRISTAN:** Krew została przelana; teraz pomsty woła.

*Tristan po krótkiej wymianie cięć przebija na wylot Albrechta*

**KŁOCZKOWSKI:** Dalibóg uchodź z placu szlachetny Krystianie.  
Bieź no do Zamoyskiego; dalej na kwaterę.

*Tristan o wychodzi*

Do kroć set nie tak miało się to wszystko skończyć.  
Trzy trupy jednej nocy, a jutro wybory.

Ricardo masz instrukcje od imć Zamoyskiego?

**RICARDO:** W samej rzeczy mam panie.

**KŁOCZKOWSKI:** Czyń tedy swą powinność.

## SCENA IV

*Na Piazza d'Erbe wchodzi pośpiesznie Judyta*

**JUDYTA:** Dziwnie pusto i cicho; nie widać Albrechta.  
Czyżby niestałość uczuć właściwa młodości  
Spowolniła mu kroki ciężarem lekkości  
Studenckich obyczajów, które tak gwałtownie  
Rwą się ku sprawą świata, by z byle przyczyny  
Zmienić szlak już obrany. Jakże jest dziecinna  
Natura młodych mężczyzn; tyle tam zmienności,  
Lekceważenia, pychy, samozapatrzenia,  
Nieodpowiedzialności i głupiej próżności.  
Może jednak zbyt śmiało osądzam Albrechta.  
O zgrozo. Czy niepewność słuszności oddania  
Serca i życia, sprawia, że tak łatwo, prosto,  
I tak szybko ulegam tak niewczesnym sądom.  
Gdzie więc jesteś Albrechcie, gdzieś jest ukochany...

*Judyta dostrzega leżące ciało*

Kto tam leży. Dlaczego sen zmorzył człowieka  
Tak mocno, że zleżł gołym brzuchem na kamieniach.  
Czy nie czuje on chłodu zimnych kostek bruku,  
Zali ostre krawędzie głazów nie dość kłują  
Bezduśzną niewygodą delikatne tkanki.  
Czemuż to tak mnie obległ mróz z ulic bijący,  
Dlaczego czuję drżenie każdej części ciała,  
Jakaż siła wypala lodowatym tchnieniem  
Krew zastygłą od zgrozy.

*Judyta klęka przy zwłokach Albrechta*

Jak dziwnie znajome  
Zdają się mi te rysy, jakże dziwnie drogie  
Wydają się te członki, które tak bezwładnie,  
Tak beztreściwie leżą na płytach z granitu.  
Ach przybądź już Albrechcie, nie pozwól mi czekać,  
Wyzwól od tego lęku, co tak mną owładnął,  
Że ledwie oddycham.

Nadbiega Jakub

**JAKUB:** Judyta! Dzięki bogu. Zbiegałem wskroś miasto,  
Szukając ciebie wszędy. Jedziemy do Polski.  
Dalej rusz się czym prędzej.

*Jakub dostrzega zwłoki Albrechta*

Na miły bóg, toż Albrecht. Siostrzyczko, nieszczęsna.

**JUDYTA:** Ktoś jest, ktoś jest człowieku, czego tutaj szukasz.  
Wszakże uczciwi ludzie o tak późnej porze  
Spoczywają w łożnicy, pilnując ogniska.  
Idź stąd człeku, przeszkadzasz, wszak ja czekam, czekam...

**JAKUB:** Czego lub kogo czekasz nieszczęsna dziewczyno.

**JUDYTA:** Czekam mego lubego, czekam, wnet się zjawi.

Uchodzimy do Polski, lecz cicho, ni słowa.  
Wszak to jest tajemnica; nikt nie może wiedzieć.

*Judyta tuli zwłoki Albrechta*

O śpij mój ukochany, śpij spokojnie luby.  
Nie dosięgnie nas krzywda, uchodzimy do Polski.

## SCENA V

W kwaterze Zamoyskiego zjawia się Tristan.

**ZAMOYSKI:** Twarz zimna i surowa jak freski Mantegni.  
Co tak zmroziło lica naszego Tristana.  
Zali piękna Lukrecja taki wzbudza płomień,  
Że żar jej tchnienia w lody krew wrzącą zamienia.

**TRISTAN:** Nasz Botero nie żyje, padł z ręki Albrechta,  
Leży na *Piazza d'Erbe*, dobity przez sztylet  
Zawziętego Tiberia.

**ZAMOYSKI:** O nieszczęsny Botero; pomsty czekaj wkrótce  
Nasz miły przyjacielu. Już zacny Venerio  
Za krew krewniaka zlaną z nawiązką odpłaci.

**TRISTAN:** Wszystko zgodnie z twoimi przewidywaniami.  
Obaj wiemy jak bardzo ta śmierć ci na rękę.

**ZAMOYSKI:** Drogi Janie, mój druhu, miły przyjacielu.  
Nie wiń mnie za Botera, to Albrecht z Tiberiem  
Sprawcami tego mordu, a kara za zbrodnię  
Dosięgnie nie ich tylko, lecz wszystkich bescianów.

**TRISTAN:** Trup Albrechta zaścielił bruk na *Piazza d'Erbe*  
Tuż za nim leży ścierwo bratanka Cavalli.

**ZAMOYSKI:** Tiberio wraz z Albrechtem? Z czyjej padli ręki.

**TRISTAN:** Pomściłem krew Botera nim jeszcze ostygła.

**ZAMOYSKI:** Moje obawy zatem ziściły się w pełni.  
Nie posłuchałeś rady imć panie Tęczyński.  
Uchodź z Padwy do Polski. Tu czeka cię proces  
I niechybna kara.

**TRISTAN:** Żegnaj zatem Zamoyski. To list dla Lukrecji.  
Wierzę, że dopilnujesz, by go otrzymała.

Tęczyński wręcza list Zamoyskiemu, który po wyjściu przyjaciela, wrzuca list do ognia kominka.

## SCENA VI

Ratusz na Piazza d'Eerbe.

**BERNARDO VENERIO:** Rzecz tedy zbadana i sprawy są pewne.  
Wszak kuzyn i przyjaciel Tiberia, Ricardo  
doniósł nam o tej zbrodni i planach brescianów.  
Mój narwany siostrzeniec padł od kłów Albrechta  
i twojego bratanka.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Mój bratanek okupił życiem już tą zbrodnię.  
Wszak cóż pocznem z Tęczyńskim. Pomścił przyjaciela,  
uprzedzając niechybny miecz sprawiedliwości  
twojego urzędu.

**BERNARDO VENERIO:** Jak wspomniałeś, mój urząd, zacny senatorze.  
Nikt w Padwie nie ma prawa wyręczać podesty.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Tęczyńscy to ród znaczny w Rzeczypospolitej,  
która w konflikcie z Turcją będzie nieodzowna.  
Należy rzecz rozważyć szlachetny podesto  
i tak sprawę ułożyć aby racja stanu,  
w tym interes Wenecji, dobrze zabezpieczyć.

**BERNARDO VENERIO:** Prawda. Niech więc uchodzi szlachetny Tęczyński.  
Oficjalnie ogłoszę, że ścigany będzie,  
lecz nie uczynię wiele by go ująć w dyby.  
Trzeba by ktoś dyskretnie doniósł jemu o tym  
i sprawił by ten orzeł odleciał do gniazda.  
Zali jednak posłucha. Dochodzą mnie wieści,  
że związany miłością do pięknej Lukrecji.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Lukrecję dzisiaj jeszcze zaręczę z Ricardem.

**BERNARDO VENERIO:** Dobrze; kto wszak uwiadomi o tym Tęczyńskiego.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Ot nadchodzi Zamoyski, on sprawę załatwi.

**BERNARDO VENERIO:** Witaj zacny Rektorze Padewskiej Uczelni!  
Przyjmij raz jeszcze moje szczerze gratulacje.  
Wszak siedemnaście nacji tobie głos oddało,  
a cztery inne frakcje głosy swe wstrzymało.  
Przyznam, że pan rozegrał wybory z zręcznością  
właściwą dotąd jeno samym Wenecjanom.  
Wrogowie wiencentynów ostrzyli niechęci  
na Piotra Kłoczkowskiego, zbierając zarzuty,  
a on w ostatniej chwili ustąpił waćpanu.

**ZAMOYSKI:** Wdzięcznym za gratulację proszę o współpracę  
szanowne władze Padwy i sławnej Wenecji.  
Razem z zacnym Ricardem ułaziłem spory  
zwaśnionych frakcji żaków i ująłem w dyby  
zapisanego prawa, wkutego w pergamin,  
studenckie przywileje, jaki i obowiązki.

**SENATOR DE CAVALLIA:** Ważąc pana zasługi i cenne talenty  
pragnęlibyśmy zlecić dyskretne zadanie.

**ZAMOYSKI:** Wielce ceniąc waszmościów szacowną opiekę,  
pozwoliłem uprzedzić roztropne zamysły  
i poleciłem skrycie aby imć Tęczyński  
co najspieszniej opuścił studenckie pielesze.

**BERNARDO VENERIO:** Równie podziwiam pana jak`m jest przerażony.  
Nie dziwi mnie potęga Rzeczypospolitej  
skoro tak przenikliwych wydaje na świat synów.  
Oby Polska jak dotąd sprzyjała Wenecji.

# KONIEC